

Wiech
Opowiadania powojenne

Tom III
Wiadomo – stolica!

Wiech

Stefan Wiechecki

WIADOMO - STOLICA!

vis-à-vis
etiuda

Kraków 2023

Wiadomo – stolica!

– Patrz pan, panie szanowny, Hitler powiedział, że na miejscu Warszawy kartofle będą rośli i faktycznie pełno tu kartofli, ale ze słoninką...

– Rzeczywiście, na każdej budce napis figuruje: „Zsiadłe mleko z kartoflami”.

– Nie jego robaczywa w ząbek czesana głowa, Kobyłkie czy insze Piaseczno z Warszawy zrobić. Gdzie stolica była, tam stolica została.

– No, troszkie nas łobuz spalił...

– Cóż niecóż, ale gront, że warszawiaki fasonu nie stracili. To wszystko apiać się odremontuje. Zaraz na drugi dzień, jak tylko szkopów cholera stąd wzięła, pierwsze budki w Jerzolimskiej alei stanęli, gdzie skromne, ale pożywne zagryche można było dostać, pod ćwiartkie „karbitówki”.

– Przepraszam pana szanownego, a co to takiego?

– Nie słyzałeś pan? Bimberek z „karbitu” robiony.

– Co pan mówisz?

– To co pan słyszysz. Warszawski wynalazek.

– I niezły?

– Nie najgorszy. W smaku pomaranczówkie przypominał.

– A siłę przepisowe posiadał?

– Owszem, bo ciut-ciut kwasu solnego dolewali.

– I dla autonomii ludzkiego ciała był nieszkodliwy?

– Tego detalicznie panu szanownemu nie powiem.

W każdym bądź razie wody po niem pić nie było wolno, bo gaz nosem uderzał, tak że o nieszczęśliwy wypadek z ogniem było nietrudno.

– I teraz go jeszcze tu sprzedają?
– Gdzieniegdzie, ale tylko dla znawców, a tak to monopolowa odchodzi, i to mocno.

– A zakąski są odpowiedzialne?

– Panie, bo się obrażę! Wiadomo – stolica! Wszystko pan w tych budkach dostaniesz. Od polskiego kawioru, czyli kaszanki, do łososia i kurczaków z mizerią. Na żądanie zrazy naleśońskie z grzybkami też mogą być.

– No to może rąbniem po jednym dziecinnem pod ten polski kawior?

– Jeżeli ma się zrozumieć koniecznie, to ja się nie odkażę, ale pan szanowny pozwoli się zapoznać, bo salonowe alibi przede wszystkim. Piecyk jestem, Teofil, warszawski rodak z dziada pradziada.

– Kitwasiński się nazywam, także samo nie z Grójca, tylko że w obecnym czasie w Łodzi mieście w charakterze spalonego zamieszkuje. Teraz w Warszawie orientacji nie posiadam, a mam życzenie fotografie do ledykimacji sobie skutecznić. Nie znasz pan jakiego fotografisty?

– Owszem, mogię pana zaprowadzić, to niedaleko stąd. Ma się rozumieć, po obecnej warszawskiej modzie, na świeżym powietrzu. Prześcieradło na ścianie wisi, aparat na trefuarze stoi – zajmujesz pan miejsce na krześle i w try miga zdjęcie zrobione. Po mojemu to nawet lepszy system niż dawniej, jeżeli się na przykład rozchodzi o tak zwaną fisharmonie małżeńskiego pożycia.

– Niby jak to?

– Bardzo zwyczajnie. Kto najwięcej się fotografuje? Młodziaki od ślubu. Każda jedna panna młoda musi w ślubnym welonie na portrecie dać się odrobić i w tem celu młodego małżonka do fotografisty taszczy. Każden jeden pan młody, po większej części, jest troszkie na gazie. Na dobitek kołnierzyk go pije, półkoszulek go gniece i w ogólności jest mu gorąco jak wielkie nieszczęście. A tu fotografista elektryczne lampę przed samą mordą mu zapala, druga w szyje go niemożliwie piecze, tak że chłopina nos ma czerwony, oczy przy-

mrużone i na portrecie jak zapijaczona ofiara losu wychodzi. Potem całe życie ma złamane, bo żona – co na te ślubne fotografie rzuci okiem, to litanie mu czyta i zapytanie skutecznia, dlaczego za takiego oliwe wyszła, któren już w dniu ślubu na nałogowego ankoholika wyglądał.

A z chwilą kiedy się zdejmamy na świeżem powietrzu, takie niebezpieczeństwo już nam, panie szanowny, nie zagraża.

– Możliwość.

– A w ogólności wszystko jest ulepszone. Chcesz pan, dajmy na to, manikure czy pedikure sobie zrobić, nie potrzebujesz pan po sklepach się rozglądać, budka na środku ulicy się znajduje, w której tak panu ręce i nogi podszykują, że najbliższa rodzina pana nie pozna. I nie nudzisz się pan przy tej robocie, bo bufet na miejscu się znajduje. Zwłaszcza poniekąd przy wycinaniu odcisków to wielkie znaczenie posiada. Powiedzmy z niemożliwego bólu pan mglejesz, ratunek jest, jak to mówią, w try miga. Angielkie czystej pan wypijesz, formkie nóżek na zimno opendzłujesz i przytomność wraca.

– A po cholere?

– Co po cholere? Nóżki?

– Nie, ten pedikur.

– Warszawiak i jak ciemna masa z głębokiej prowincji się wyraża, jak pragne zdrowia. Kultura i sztuka nasz do tego zmusza i rozchodzi się o to, żeby na złość zrobić Hitlerowi, któren warzywo na Marszałkowskiej ulicy chciał sadzić.

– A skoro jeżeli tak, to chodź pan na pedikur.

Na własną rękę

Spotkałem wczoraj pana Walerego Wątróbkę. Nie widzieliśmy się przeszło 5 lat. Nie zmienił się prawie wcale, nawet stał przy latarni. Było to wprawdzie tylko wspomnienie latarni – sama podstawa. Reszta leżała obok w błocie, ale pan Walery był cały.

Uścisnęliśmy sobie serdecznie ręce, po czym zapytałem o zdrowie pani Gieni.

– Owszem, nie można powiedzieć, zdrowa jest, nawet może ciut-ciut zanadto, bo morda się jej ani na jedną minutę nie zamyka.

– No a jakże tam szwagier Piekutoszczak?

– Nie mówmy o tem łachudrze, z nerw wychodzę, jak o niem słyszę.

– A cóż on takiego zrobił?

– Całe wojne się z łachadojdą męcę, przez jakie setkie łapanek go przeprowadziłem, a teraz mnie taki wstyd uskutecznił.

– Wstyd? Co pan mówi?

– Przez niego nieraz ja bym w czapkie od szkopów dostał, bo to lebiega, niewidymka, za grosz orientacji nieposiadająca.

Raz na przykład zapychamy przez Kierbedzia „oczkiem”.

– Jak to „oczkiem”?

– Tramwajem „21”, co na Targówek chodził! I w tem trakcie ktoś krzyknął: „łapanka”. Motorniczy przyhamował i wszyscy pasażerowie chodu, ale gdzie tu zjeżdżać? Most z dwóch stron przez „blondynów w blaszanych kapeluszach” obstawiony... Jednem słowem ciemna mogiła. Ale patrze, że środkiem mostu pogrzeb na Bródno posuwa, i mówie do szwagra: „Chodź, Feluś, żałobne rodzine będziemy odstawiać”.

No i ma się rozumieć wpasowaliśmy się w orszak. Ale szwagier jak to szwagier, zaczem tylko smutne mine zrobić chustki brudne jak wielkie nieszczęście z kieszeni wytaskał, oczy sobie zakrył i dawaj rozpaczać rzewnemy łzamy po tem nieboszczyku. A jęczał tak i dech wypuszczał, że aż się wdowie, co przed niem szła, welon wiwał.

No i co z tego wyszło? Patrze za chwilkie, nie ma go. Rozglądam się po całym mieście i widze, że on nie za karabaniem, tylko za wozem węgla idzie z mordą zasłoniętą i rozpacza w dalszym ciągu tak, że go przy cerkwi na Pradze słyhać.

Już szkop do niego leciał i zabrałby go jak barana do budy, żebym go w ostatniej minucie nazad w orszak nie wciągnął.

I tak stale i wciąż z nim miałem.

– No dobrze – przerywam – ale miał pan opowiedzieć o wstydzie, który świeżo panu zrobił...

– Zaraz, nie tak galopkiem – będzie i o wstydzie. Z tem wstydem to było tak. Pare dni temu w tył poszliśmy ze szwagrem Warszawę odbudowywać. Porobiliśmy z godzinę przy gruzie na Marszałkowskiej ulicy, aż tu szwagier zaznacza do mnie: „Uważasz, Walerek, nie spodoba mnie się ta robota. My musimy na swoje ręce ten remont naszej kochanej Warszawy zacząć, i to nie od ulicy, ale od piwnic. W piwnicach węgla do cholery i trochę się znajduje i w ten deseń o nieszczęście nietrudno. Dom już będzie na cacy odświeżony, a tu ktoś przez tak zwane nieuwagę zapalonego pagierka do piwnicy wrzuci i wszystko apiać się sfajczy. Tak nie można, najsamperw trzeba węgiel usunąć.

Myśle sobie... może i ma rację. Poszliśmy do jednego podwórka, zaglądamy do piwnicy – węgiel jest. Przyuważył gdzieś szwagier Piekutoszczak jakiś wózek i dawaj węgiel wyciągać. Ruszyłem dwa-trzy razy łopata, patrząc, a tam pod miałem walizka siedzi. Otwieramy, w środku ciuchy. Jakieś fraki na zawiasach, futra i insza galanteria męsko-damska. No cóż, zostawić tego nie można, bo jak słońce przygrzeje, mole się w garderobe wdać mogą... No i znakiem tego nie było inszej rady, tylko trzeba było to zabezpieczyć. Ale jak to zrobić? Z walizą przenieść nie można, bo milicja pomyśli, że to zaszabrowane, i do mamra gotowa nas wsadzić. Wtenczas szwagier doradził, żeby wziąć wszystko na siebie. No i ma się rozumieć przebraliśmy się. Ja za derektora w futrze i celindrze, a szwagier damskie salope na łososiach na siebie wsadził, kapelusz ze strusiem piórem, gumowe pepegi na nogi i wachlarz jeszcze cholera wziął pod pache. Faktycznie wyglądał na zbankrutowane hrabinie.

Trochę się ludzie za nami na ulicy oglądali, ale może byśmy się jakoś dostali do domu, żeby nie to, że się szwagro-

wi rozmawiać *parle franse* zachciało. Zaczął piskliwym głosem barłóżyć: „*Pardą, antre, pur le dam, wagon restaurant*” i temuż podobnie. Ale mu się koniec końców wszystko pokiełbasilo i wyraził się: „*Hände hoch*”.

Któs to usłyszał i krzyknął: „Trzymać foksdojczów”. My ma się rozumieć chodu, a publika za namy.

Ganiali nas przez Królewskie, Karowe, naokoło po ślimaku do samego mostu. Tam nasz dopiro przytracili, rozpieli szwagrowi *salope*, patrzą, a on pod damskimi *desusami* szelki i spodnie w paski posiada. No wtenczas już wszyscy byli pewne, że jesteśmy przebrane szkopy, i bylibyśmy ciężki wycisk dostali, tylko że nasz wojsko odbroniło. W milicji przyznaliśmy się jak na spowiedzi, co i jak było, będziemy mieli sprawę sądowe.

I przez kogo? Przez szwagra, któremu na swoje ręce odbudowywać Warszawę się zachciało. Od tej pory powiedziałem sobie: samodzielnie, na własne ręce palcem nie rusze. Niech inżynierzy *kompinują*, co i jak ma być. Pójdzie to może trochę wolniej – ale za to będzie pewniejsze, proszę obywatela!

Na półmisku

Zastałem się, proszę obywateli szanownych, *trafonkowo* za *derektora* hotelu, i to w swoim właściwym mieszkaniu na *Szmulkach*. A zaczęło się od tego, że przyjechała do nas z *Grójca* spalona ciocia *Wężykowa*.

Rzecz jasna, że trzeba było *famieliantkie* przyjąć. Totyż wpuściłem, ma się rozumieć, ciciu do łóżka na swoje miejsce od ściany, a sam przeniesłem się na ziemię do szwagra *Piekutoszczaka*, któren także samo jako spalony mieszka u nas pod stołem. Po ciciu *Wężykowej* nadleciał ze *Skierniewic* czyli tyż inszego *Łowicza* kum *Gieni* niejaki *Szczurkowski* z żoną, *teściovą* i *sześciorgiem* dzieci. No to nie było inszej rady, tylko musieliśmy ze szwagrem przenieść się do szafy. Powo-

dziło się nam tam nie najgorzej, bo Gienia trzymała w szafie gąsior leczniczego spirytusu. To się zawsze pociągało po se-tuchnie do poduszki. Bogiem a prawdą spirytus był na mrówkach w charakterze lekarstwa na romatyz, ale przepisowe siłę posiadał. Szwagier troszkie narzekał, że mrówki po ciemku łyka, ale światła bojeliśmy się zapalać, żeby Gieniuchna, co i jak jest, nie sporutowała.

No i żyło się „jak cie mogie”. Ciasno nam się zrobiło dopiero wtenczas, jak wrócił z Niemiec koleżka braciszka żony, Rączka Alojzy z kozą.

Na razie zrobiliśmy propozycje, żeby koza mieszkała na podwórku, koło śmietnika, ale ten ów Rączka obraził się o to i zaznaczył, że ani na jedne minute z nią się rozstać nie może, bo to jest koza pamiątkowa. W Pruszkowie w obozie z niem była. Całe Niemcy zjeździli tam i nazad i teraz spod Berlina zapychają. Znakiem tego nie może się zgodzić, żeby ją kto z podwórka przyuważył. A detalicznie stworzenie jest wesołe i w krótkim czasie wszyscy go polubieją.

W taki sposób musieliśmy przyjąć koze do towarzystwa. Wesoła ona, cholera, faktycznie była. Zaraz pierwszej nocy pół materaca spod Gieni wyżarła i ciocie Wężyk za wieczne ondulacje zębamy chapła, bo myślała, że to siano. Ale najgorze było, że „drobne” miała.

Po trzech dniach wszyscy się drapali jak najęte. Święta szli, a tu się wykapać nie było gdzie, bo szkopy wszystkie kąpiele sfajczyli.

Wtenczas szwagier zaznacza, że w domu nam rzemską łąźnie wysykuje, tylko mu potrzebna balia i konewka. Konewkie pożyczło się od dozorcego, ale balii nie było, bo Gienia wywiozła ją przed powstaniem z inszemy rzeczamy do Warszawy, żeby było bezpieczniej. Z większych naczyń został nam się tylko półmisek. Obejrzał go szwagier i mówi, że będzie ciut-ciut za ciasny, ale obleci, skoro jeżeli Gienia na niem galarete z sześciu wieprzowych nówek nieraz studziła.

W Wielki Czwartek nagotował szwagier wody, uwiązał konewkie na haku przy suficie, do dziobka przyczepił sznurek,

pod spodem półmisek ustawił i mówi, że rzeńska łaźnia gotowa i żeby się klejenci w ogonku ustawili. Ale nikt nie chciał, obsztorcowali tylko szwagra na perłowo i wyszli z domu.

Ja sam jeden się zostałem i myślę sobie, spróbuję tego wynalazku, bo faktycznie czystość to zdrowie. Rozebrałem się, ma się rozumieć, do rosółu, wlałem na półmisek, ale się gibam – w nogi mnie ciasno, bo co wieprzowe, to nie moje, odpowiedzialne, trzydziesty drugi numer. Ale nic, wręcza mnie szwagier mydło i mówi:

– Szoruj, Walerek, łeb, a jak namydlisz fest, powiedz mnie, to za sznurek pociągnie, woda polecie, mydło się splucze i tak po kawałku cały się umyjesz jak lalka.

Ano dobra, mydle, mydle i widze, że będzie dosyć, bo cały się w pianie znajduje, i znakiem tego mówię:

– Feluś, ciąg za sznurek!

Czekam, a ta woda nie leci. Krzycze raz i drugi – nic. Obcieram oczy, obglądam się – nie ma szwagra.

– Feluś, do wielki Anielki, gdzieś się podział?

A szwagier z sieni mnie odpowiada, żebym poczekał troszkie, bo jest zajęty, komitet domowy przyszedł sprawdzić, czy my za dużo luzu nie mamy w mieszkaniu, i on musi wszystkich lokatorów wymienić po nazwisku.

Ja tu stoje goły na półmisku, nogi mi się trzęsą, dreszczy dostałem, a on się z komitetem przekomarza. Czekam jeszcze troszkie, ale już dłużej nie mogię, bo na dobitkę mydło zaczęło mnie w oczy szczypać, toż wołam:

– Wpuść komitet do mieszkania!

– Nie mogię, bo damski – prezesowa i cztery sekretarki... – i dawaj dalej wyszczególniać.

A tu jak mnie nie rąbną mydliny w jedno oko, jak nie poprawią w drugie, wszystkie gwiazdy mnie się pokazali, wyszłem z nerw i krzyknęm:

– O rany, jak mnie mydło gryzie... ratonku!

Zlitował się szwagier, wleciał do pokoju, pociągnął za sznurek i... myślałem, że skonam, jak mnie wody na łeb nalał. Ukrop to był ze sto dwadzieścia stopni w cieniu, zleciałem ma

się rozumieć z półmiska na podłogię, podrywam się i chodu spod konewki, ale wskoczyłem na kawał mydła i jade na niem jak na łyżwie. Wybiłem głową filong i wpadłem między komitet. Prezesowa zemgłała, reszta komitetu gazu przed siebie. Nadobitek koza wyskoczyła ze strachu przez okno i wpadła na milicjanta, którego zestawili dwa pretokóły: o zabradziazenie spokoju publicznego i o obraze niemoralności.

Ale za to jestem czyściutki jak nowo narodzony pętał. Przy święconem jajeczku wszystkie moje lokatorzy tak się drapali, że życzeń religijnych nie można było składać, bo co i raz zółtko komuś z widelca spadało. A ja nic.

Każden mnie zazdrościł i same teraz względem tego tygodnia czystości mają konewkie od dozorcęgo pożyczć, tylko że Gienia będzie stała przy sznurku, bo szwagier jest raptus i znowu może zapomnieć zimnej wody do ukropu dolać.

Okazyjna jazda

Na okazyjne auto „przez most na Pragę” czeka się przy zbiegu Alei Jerolimskich i Marszałkowskiej w grupie podróżnych wymachujących przyjaźnie teczkami i walizkami w stronę każdego przejeżdżającego samochodu. Ale wehikuły te mają specjalne zwyczaje. Nie zatrzymują się nigdy przy tęskniących do nich podróżnych. Mijają ich we wściekłym tempie i hamują gwałtownie o kilkadziesiąt metrów dalej. Na ten widok przez tłum kandydatów na pasażerów przebiega jakby iskra elektryczna. Z głuchym jękiem chwytają oni swoje bagaże i ruszają w pogoń, z rozdętymi nozdrzami i szaleńczym błyskiem w nieprzytomnych oczach, tratując po drodze wszystko.

Po chwili nieszczęsna wataha dobiega do dyszącego benzyną potwora, który zazwyczaj tak jest skonstruowany, że dostanie się do środka olbrzymiej skrzyni stanowiącej jego karoserię, bez zastosowania drabin obłączniczych, bosaków

i lin używanych do wspinaczki wysokogórskiej, wydaje się szczytem niemożliwości.

Ale tak to wygląda tylko na pozór. W ciągu sekundy garść wypróbowanych w bojach o miejsce młodszych zawodników jest już na szczycie. Wciągają za sobą maszyny do szycia, tapczany, fotele-lóżka, wyżymaczki, kufry wielkości wagonów kolejki wąskotorowej i z łoskotem wskakują do skrzyni.

Wszystko to się dzieje przy akompaniamencie rozdierających serce krzyków i lamentów.

- Oleś, pomóż mnie, bo nie wliżę.
- Po kole włącz, Zosia, po kole...
- Trzy razy już się omskłam...
- Czekaj, dawaj nogie...

Tu obywatel, nazwany Olesiem, przyklęka dwornie przed swoją damą, dźwigającą na plecach okazałych rozmiarów piecyk szamotowy i wiązaną rur oraz kolanek.

Stawia sobie jej nóżkę na ramieniu i nagłym wyrzutem rozprężonego ciała wysyła cały transport w górę. Z okrzykiem: „O Jezu, zabił mnie” pani Zosia znika we wnętrzu wozu.

Wyprawa jest prawie gotowa. Przybywa jeszcze tylko obywatelka ze szczotką na kiju oraz obywatel, który pragnie przewieźć na Pragę masywne, dwuskrzydłowe, artystycznie rzeźbione w dębie, suto okute brązem drzwi, łącznie z futryną.

Szczotkę jakoś umieszczono, ale drzwi wywołały burzę protestów wśród stłoczonych na larach i penatach wędrowców.

– Panie, gdzie się pan tu pchasz z tą bramą, jak pragnę zdrowia?

– Skądżeś pan te drzwi wyrwał, z kościoła czy jak?

– A pańskiej babci zamazany interes. Ja się pytam: czyj ten materac, co go pan wieziesz? Siedź pan, jak panu dobrze. Wygodniak, futrynka mu przeszkadza...

Przy pomocy dziesięciu ochotników spośród przechodniów „futrzyka” zostaje wreszcie ulokowana.

Auto rusza. Na razie wszystko jest dobrze. Pasażerowie doszli do porozumienia. Zaczynają lekko sobie nawet podżar-

towywać z wojennych warunków komunikacyjnych i nagle czują, że grunt gwałtownie poczyna usuwać się im spod nóg. Jeszcze chwila i zbite kłębowisko ludzi, mebli, waliz tłumoków przechyla się w stronę budki szofera, by za moment runąć jak lawina do tyłu.

Nie wytrzymały tego naporu wrota rzeźbione na końcu wozu. Rozwarły się szeroko, by przepuścić szturmującą publiczność. Naprzód wyskoczyła przez nie na jezdnię obywatelka ze szczotką na kiju, za nią jakiś młodzian z „Bitwą pod Grunwaldem” w złożonych ramach, pani z pieskiem i jeszcze koło piętnastu osób obojga płci.

Samochód przystanął, z budki wysiadł szofer i oświadczył, że właściwie nic się nie stało, tylko mu wóz troszkę „podrywa” przy zmianie biegów. Uważać naprawdę trzeba dopiero na zakrętach. „Przy lewym nadać się na prawo”.

Teoretycznie wydawało się to łatwe, a w praktyce nastęczało niejake trudności. Pozbawieni równowagi pasażerowie chwyтали się kurczowo swych sąsiadów, co nie zawsze spotykało się z aprobatą.

– Panie, jak mnie pan jeszcze raz złapiesz za nos, wyjdę z fasonu i będzie krewa. Nie lubię tego – nerwowy jestem, rozumiesz pan?

Skarcony turysta szuka ostoi w sąsiadce z lewej strony, ale już pierwsza próba kończy się dla niego tragicznie.

– Nie szczyp się pan...

– Zosia, kto cie uszczypał? – pyta z daleka mąż właścicielki szamotowego piecyka.

– Ten ów, co za mną stoi.

– Jak się pan prowadzisz, dlaczego mnie pan żonę szczypiesz?

– Co proszę, ja tę panią szczypię? w jakim celu?

– Nie udawaj pan Greka, nie wiesz pan, w jakim celu mężczyzna szczypie uroczą kobietę?

– Daj pan spokój, uroczą to ona jest dla pana, bo pan nie masz innego wyjścia.

– A dla pana jaka jestem? – zaperzyła się pani Zosia.

– Dla mnie jesteś pani wydra na kołnierz od palta.
– Oleś, w ucho go!
– Nie mogię, za daleko stoje. Ale służę ci rurą, kochanie ty moje.

Tu pan Oleś wręczył małżonce dwumetrowej długości rurę. Pani Zosia z wprawą ujęła ją za kolanko i grzmotnęła swego przeciwnika w kapelusz. Z rury buchnął potężny, przypominający eksplozję miny słup sadzy. Czarna chmura spowiła świat. Kiedy opadła, okazało się, że wszyscy pasażerowie wyglądają jak silny oddział kominiarzy po ciężkiej pracy wracający do domowych pieleszy. Obywatele spojrzeli po sobie i rzucili się na pana Olesia. Na szczęście szofer krzyknął:

– Brukowa, wysiadać!

Samochód przystanął. Okazyjna jazda była skończona. Kominiarze porwali swoje paczki i lekko się tylko otrzepując, pobiegli do domów.

Nie targować się!

Zanim przyszły piewca odbudowy Warszawy przekazać potomnym epos o wskrzeszeniu stołecznej komunikacji, warto kilku bodaj słowami uczcić znojnny trud cichych jej pionierów.

Nie upierajmy się zresztą przy tych „cichych”, właściwszym bowiem określeniem byłoby „zachrypniętych”. Chrypka owa powstaje wskutek ustawicznego wołania: „Na Pragę!”, „Na „Żoliborz!”, „Na Zachodni, na Zachodni!”. Choć przy analizowaniu ich nie należy również lekceważyć wpływu znakomitych wyrobów Państwowego Monopolu Spirytusowego, popartego inicjatywą prywatną wytwórni bimbru.

Któż z nas nie korzystał bodaj raz z cudów najnowocześniejszej techniki komunikacyjnej pozostających pod wytrawną dyrekcją wzmiankowanych wyżej jej pionierów.

Któż nie podziwiał pomysłowości i fantazji przetwarzającej przy pomocy paru desek, tzw. całówek, zwykły wóz do przewożenia węgla czy śmieci w pakowny konny trolleybus.

Oczywiście malkontenci, bo tych nigdy nie brak, narzekają na zbyt słone ceny pobierane za przejazd, ale kilka argumentów nie do odparcia wystarczy zwykle, by przekonać najbardziej opornych. Wygląda to zazwyczaj tak:

– Co? Pięćdziesiąt złotych za taki kawałek? – gorszy się oszczędny pasażer.

– Czego? Kawałek? A coś pan chciał, za pięć dych kule ziemskie naokoło objechać?

– No nie. Ale jeżeli za samochód płacę 20 złotych...

– A co pan myślisz, że mój koń na benzynie chodzi?! Że motor ma w...

Tu woźnica określa krótko, ale bardzo dokładnie miejsce, w którym jego rumak nie posiada silnika.

– A ja jednak tyle nie zapłacę – upiera się pasażer. – Niech pan zawoła milicjanta.

– Stasiek, masz bat! – woła z kozła małżonka dyrektora przedsiębiorstwa, wręczając mu potężnych rozmiarów insygnium jego władzy.

To pełne niedomowień napomknienie wystarczy. Skruszony podróżny wydobywa pięćdziesiąt złotych i bez szemrania płaci.

Ale o krok dalej inkasent znowu trafia na trudności. Jakaś pani z teczką pod pachą mówi:

– Ja proszę o przejazd ulgowy. Mam taką legitymację, że wszędzie otrzymuję zniżki, nawet na samoloty.

– Dla mnie możesz pani nawet amerykańskim bombowcem za pół darmo jeździć, u mnie z taką ledykimacją płaci się pełne takse.

– Stasiek, wysadź tego łachmyte, co się pierwszy zaczął targować, bo zdrowie dzisiaj z niemy stracisz – wtrąca z kozła połowica pana Stanisława – oddaj mu jego pieniądze i niech szoruje piechotę. Jak się trafi jedna taka parszywa owca,

wszystkich gości zarazi. Targują się cholery jak Cygan za matkę, a nie wiedzą, ile owies dzisiaj kosztuje. Tak trzeba z niemi, jak pani Królik w zeszłe sobotę zrobiła.

Ponieważ kilka osób zainteresowało się sposobem zastosowanym przez panią Królik, pan Stanisław streścił to pokrótce:

– Pani Królik na dwukonnej furmance jako wdowa żałobna osobiście się udziela bez żadnej pomocy. Totyż jak w sobotę na lepszych pasażerów trafiła, co ani płacić, ani złączyć z wozu nie chcieli, wyszła z nerw, złapała za tylnie koła i dwanaście osób z dużym bagażem przy pontonowym moście w największe błoto wygruziła.

Opowieść zrobiła duże wrażenie. Nikt więcej się nie targował.

Bo rzeczywiście 50 złotych od osoby to nie jest drogo, jeśli się weźmie pod uwagę, jakie ilości pochłania obsługa konnego trolleybusu, owsa i mieszanki spirytusowej.

To za króla Zygmunta

Zapyloną, zalaną słońcem szosą posuwała się wolno bateria zmotoryzowanej artylerii. Młodzi żołnierze, wygodnie rozlokowani na działach i jaszczach, wesołymi okrzykami witali mijane wysokie niemieckie wozy wypełnione siedzącymi na skrzynkach i węzełkach wynędzniałymi ludźmi.

– Do widzenia w Warszawie!

– Do widzenia! – odpowiadano im z wozów. Radosne uśmiechy pojawiały się na pożółkłych twarzach i w przygasłych oczach, radośnie powiewały ku nim biedne, nie wiadomo z czego uszyte białe-czerwone chorągiewki.

Bokiem, ścieżką szedł, podpierając się kijem, młody mężczyzna w wytartym, spłowiałym mundurze wojskowym. Ciężko człapały nogi obute w sharatane drewniaki. Ale furazerkę z fantazją zawadiacko miał nasuniętą na prawe oko.

Przystanął, przysłonił oczy dłonią, patrzył długo na przesuwającą się baterię, wreszcie zbliżył się do jednej z armat i zawołał:

– Chłopaki! A można by się przysiąc?

– Czego się, bracie, pytasz. Walaj.

Kilka par rąk wyciągnęło się ku niemu i za chwilę już siedział między młodymi artylerzystami. Odsapnął, otarł pot z czoła, pogładził ręką lufę działa.

– Dobra sztuka. Myśmy pod Kutnem takich nie mieli. Toć ty, bracie, kolega po fachu? Artylerzysta?

– Wiadomo, 1 p.a.c.

– Która bateria? – zainteresował się nagle siedzący nieco dalej kapral.

– Druga.

– Druga? – kapral zerwał się na równe nogi. – I ty, dziadku, mnie nie poznajesz?

– Rany boskie, Kaziak Rybka!

– Kalinoszczak! Daj pyska! Gdzieś ty był, jak cie nie było? Gdzie cie cholera z tego lasu wtenczas w nocy wzięła?

– Dostałem kulę w biodro i spadłem z konia. Nie zauważyliście. W ten deseń do niewoli się dostałem i teraz posuwam ze stalagu.

– A ja pół świata przez ten czas zjeździłem. Lało się szkopa, gdzie się mogło i jak się mogło. Najlepiej było w Berlinie. Odegrałem się za Warszawę na sto dwa. Uważasz, co wezmę na muche jakiś budynek, to mówię sobie: To za Nowy Świat! i trzask go w migdał! – To za Kanonie! i lu go jak w bęben! – To za Hożą! za Wspólną, za Kruczą! Za sam kościół Świętego Krzyża osiem chałup w drobny mak jem rozpieprzyłem!

– A za króla Zygmonta odegrałeś się, Kaziak?

– Wiadomo. Pomniki szli osobno. Akurat zasuwalimy na jeden plac, gdzie figura jakiegoś ich Wilusia się znajdowała, i kapitan mówi, żeby górować, strzelać ostrożnie, bo tam jest pomnik króla, którego dzieło sztuki przedstawia. Podobnie największe niemieckie kamieniarze nad nim pracowali. A my

– myślę sobie – tośmy takiego króla Zygmonta, takiego Poniatoszczaka, takiego Mickiewicza na odpuście na Bielanach „w kogutka” wygrali? I lu w Wilusia, tak że tylko buty po niem zostali.

Tu były jeniec niemiecki pochwycił ponownie w objęcia kaprała, uściskał go i dziękował w imieniu wszystkich stalgów Hitlera.

Patrzac na to, śmiało się całą gębą cudne, polskie już słońce, bo właśnie bateria przejechała przez most na Odrze.

Gdzie ciało?

Spotkałem pana Walerego Wątróbkę w ulubionym lokalu „Pod pomnikiem” na Nowym Bródnie. Siedział samotnie przy oknie, wpatrzony melancholijnie w stojącą przed nim butelkę.

– Czemu pan taki smutny, panie Walery? Wojna skończona. Jedność narodowa święci wspaniały triumf. Czemu pan się nie raduje?

– Staram się, ale jakoś mnie nie wychodzi. Może dlatego, że ciała nie ma...

– Czyjego ciała?

– Jak to, pan nie wiesz? Tego w ząbek czesanego nieboszczyka. Cały świat go szuka i kamień – woda!

My tu już ze szwagrem Piekutoszczakiem trzy razy posiedzenie komitetu domowego zwoływali, żeby nasza kamienica na swoją rękę zaczęła go szukać, ale nic z tego nie wychodzi.

Nie dalej jak wczoraj tu przy tym stoliku siedzieliśmy w kilka osób i cały wieczór się męczyliśmy, co z tym draniem mogło się zrobić. Szwagier zaznaczył, że między malarzami z pewnością się schował. W Szwecji, w Chinach go szukają, a on może w Berlinie na pryncypalnej ulicy na drabinie stoi i fronik szczotkowcem na perłowo zaciąga. Możliwość – mor-